

Nazywam się Michel Leiris, skończyłem właśnie trzydzieści cztery lata

Skończyłem właśnie trzydzieści cztery lata, połowę życia. Fizycznie jestem wzrostu średniego, może mniej niż średniego. Włosy mam ciemne, strzyżone krótko, aby nie falowały, a także po to, aby zapobiec grożącej już łysinie. Jeśli mogę sam wyrokować, znamienymi rysami mojej fizjonomii są: prosty zupełnie tył głowy, spadający pionowo jak mur czy brzeg morski, typowe (jeśli wierzyć astrologom) znamię osób zrodzonych pod znakiem Byka; wydatne i nieco guzowate czoło z nadmiernie splątanymi i nabrzmiałymi żyłami na skroniach. Wielkość czoła, jak mniemają astrologowie, pozostaje w związku ze znakiem Barana: istotnie, urodziłem się 20 kwietnia, na granicy obu znaków, Barana i Byka. Oczy mam czarne, zaczerwieniony zwykle rąbek powiek; cerę żywą; wstydzę się przykrych skłonności do rumieńców i łśnienia skóry. Ręce mam chude, dość włochate, z bardzo wyraźnymi żyłami. Moje palce środkowe, zgięte u końca, zdają się zdradzać coś słabego albo chwiejnego w charakterze.

Głowę mam w stosunku do tułowia raczej wielką; nogi nieco za krótkie w porównaniu z całością, ramiona zaś za wąskie, względem bioder. Chodzę pochylony do przodu; kiedy siedzę, garbię się zazwyczaj; pierś mam niezbyt szeroką i nie jestem szczególnie umięśniony. Lubię ubierać się z największą elegancją; jednakże wady budowy, które przed chwilą wymieniałem, oraz środki, jakimi rozporządzam (mocno ograniczone, aczkolwiek nie mogę się uznać za biedaka), sprawiają, że uważam się zwykle za rozpaczliwie nieeleganckiego. Kiedy znienacka zobaczę siebie w lustrze, ogarnia mnie wstręt: nie przygotowawszy się zawnaz do własnego widoku, znajduję, że jestem ponizająco brzydki.

Miałem – lub mam – kilka natrętnych gestów: obwąchuję sobie wierzch dłoni; obgryzam paznokcie niemal do krwi; skłaniam lekko głowę w bok; zaciskam wargi i ściągę noszra ze zdecydowaną miną; uderzam nagle czoło wierzchem dłoni, jak ktoś, komu przychodzi do głowy nagle myśl (dawniej w podobnych okolicznościach obmacywałem sobie potylicę); zasłaniam palcami oczy, kiedy muszę odpowiedzieć tak lub nie na kłopotliwe pytanie albo podjąć decyzję; kiedy jestem sam, drapię się w okolicę odbytu itd. Gestów tych pozbyłem się jednego po drugim

przynajmniej w większości. Może jednak zmieniłem je tylko i zastąpiłem innymi, których jeszcze nie rozpoznałem? Jakkolwiek byłbym wprawny w obserwowaniu samego siebie, jakkolwiek natrętna i maniacka byłaby skłonność do tej gorzkiej kontemplacji, istnieją niewątpliwie sprawy, które umykają mojej uwadze; zapewne też należą one do najbardziej widocznych, ponieważ decyduje perspektywa i moja podobizna, namalowana wedle mej własnej perspektywy, pozostawia na pewno w cieniu wiele szczegółów, które innym muszą najbardziej rzucać się w oczy.

Głównym polem mojej działalności jest literatura, określenie dziś mocno ośmieszone. Używam go jednak bez wahania, ponieważ oznacza fakt: jest się literatem, tak jak botanikiem, filozofem, astronomem, fizykiem, lekarzem. Daremnie wymyślać nowe określenia, nowe preteksty, które by usprawiedliwiały zamiłowanie do pisania: literatem jest każdy, kto lubi myśleć z piórem w ręku. Parę książek, które ogłosiłem, nie przyniosło mi żadnego rozgłosu. Ani się tym martwię, ani skarżę, ponieważ czuję jednakowy wstręt do stylu „bożyszczu publiczności”, jak do stylu „poeta niedoceniony”.

Nie będąc podróżnikiem we właściwym znaczeniu, zwiedziłem jednak niemało krajów: we wczesnej młodości Szwajcarię, Belgię, Holandię, Wielką Brytanię; później Nadrenię, Egipt, Grecję, Włochy i Hiszpanię; ostatnio zaś tropikalną Afrykę. Nie władałem jednak przyzwoicie żadnym obcym językiem i to, dodane do wielu innych słabości, budzi we mnie wrażenie niedoświadczenia oraz izolacji.

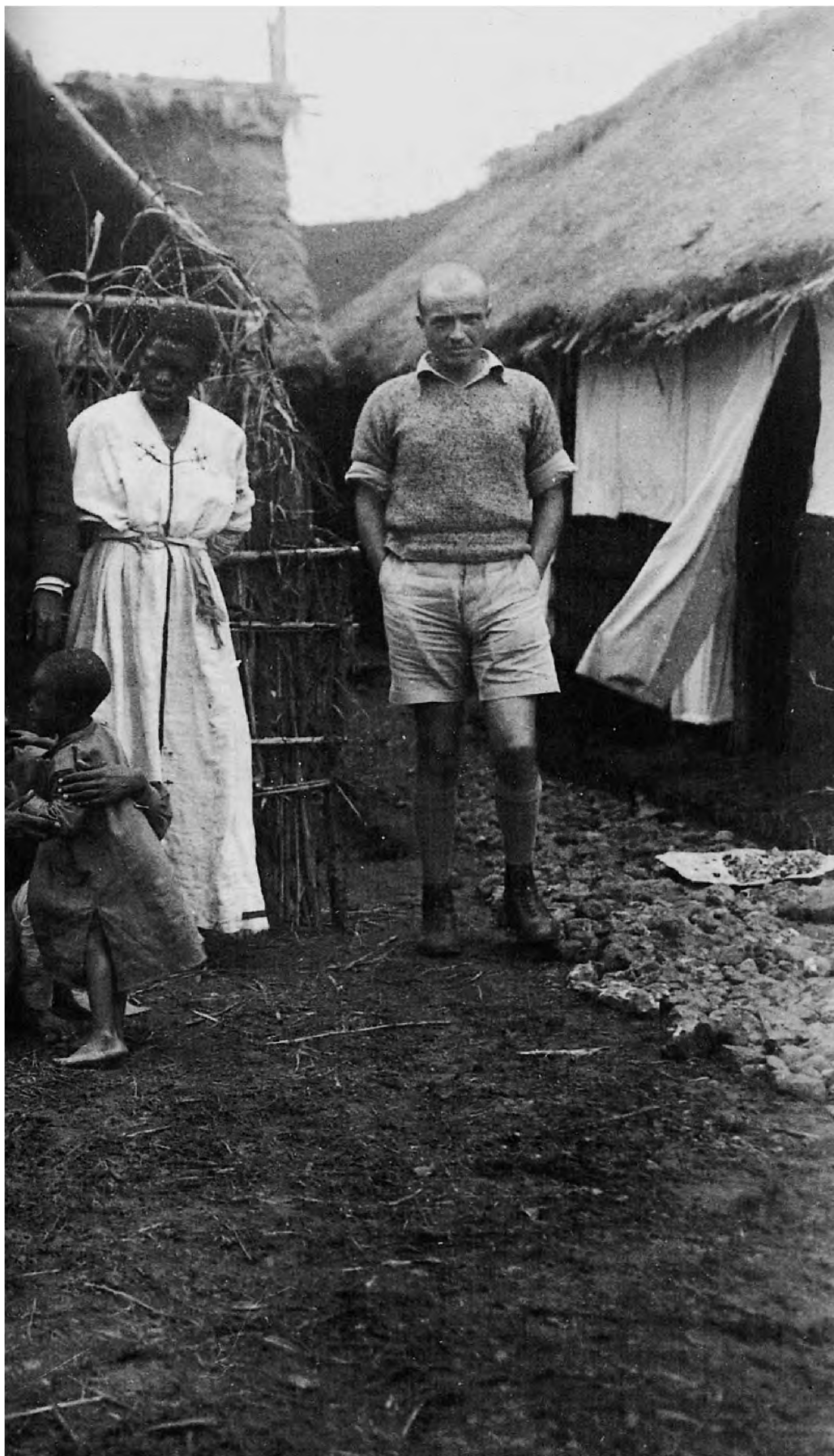
Chociaż muszę pracować (w dziedzinie niezbyt przykry, ponieważ zawód etnografa odpowiada właściwie moim gustom), żyję w niejakiem komforcie; cieszę się dość dobrym zdrowiem; nie brak mi, przynajmniej porównawczo, wolności i powinienem, pod wieloma względami, zaliczyć się do ludzi, których przyjęto nazywać „szczęściarzami”. Mało było jednak w moim życiu zdarzeń, które mógłbym rozpamiętywać z zadowoleniem i doznaję coraz wyraźniej uczucia, że miotam się w pułapce i że – mówię bez literackiej przesady – coś mnie stopniowo zżera. (...)

Jak wielu innych zszedłem do piekieł i jak niejeden zdołałem z piekieł (lepiej czy gorzej) powrócić. Przedtem zaś było moje wczesne dzieciństwo... dzieciństwo, ku któremu zwracam się od kilku lat w przeświadczeniu, że to jedyny okres mego życia, kiedy byłem szczęśliwy, aczkolwiek zawierało ono już w sobie załazki własnego rozkładu i wszystkie rysy, które – pogłębiwszy się w zamarszczki – nadają podobieństwo portretowi.

Zanim spróbuję odsłonić kilka linii, które okazały się trwale w tym upadku absolutu, w stopniowym rozkładzie, do którego – moim zdaniem – sprowadza się w znacznej mierze przejście od młodości do wieku dojrzałego, chciałbym zapisać w kilku słowach to, co jestem w stanie zgromadzić z resztek metafizyki mego dzieciństwa.

Za: *Wiek męski*, PIW Warszawa 1972, s. 21-25

Przełożyli Teresa i Jan Błoński



„Kiedy znienacka zobaczę siebie w lustrze, ogarnia mnie wstręt: nie przygotowawszy się wcześniej do własnego widoku, znajduję, że jestem poniżająco brzydki.” Michel Leiris w Etiopii, Misja Dakar-Dżibuti. Fragment fotografii. Za: M. Leiris *Miroir de l'Afrique*, Gallimard 1996, ed. Jean Jamin.